



NORBERT  
ZETT

FLAUTINERIA

Tytuł: Latimeria

Autor: Norbert Zett

Korekta: Grażyna Dobromilska

Ilustracja na okładce: [www.istockphoto.com/portfolio/arborelza](http://www.istockphoto.com/portfolio/arborelza)

Opracowanie graficzne okładki: Norbert Zieliński

Copyright © Norbert Zett

ISBN 978-83-953611-0-4

Poznań, 2019

Norbert Zett

LATIMERIA

## Spis treści

1. [O Królownie i Sercu Puszczy](#)
2. [O Rodzikradłach](#)
3. [O Czarodziejskim Pojedyнку](#)
4. [O Nieumarłych](#)
5. [O Archenomach](#)

# 1

## O Królownie i Sercu Puszczy

Dawno, dawno temu, jak to w baśniach bywa, na odległych wodach istniał świat niedostępny naszym oczom. Świat mały, lecz pełen dziwów. Piękny i dobry był, ale jak wszędzie, czaiły się tam również zło i niecnota.

Wyobraź sobie, czytelniku, wyspę, a na niej łąki i pola na obwodzie, zaś okrągło porastający bór w samym sercu. Na skraju jego stało niewielkie, acz szczęśliwe królestwo.

Dwór królewski okalał gaj wierzb płaczących, przez co gmachu nie nazywano zamkiem ani nawet dworem, tylko po prostu Wierzbami. Pałac z jasnej cegły wznosił się ponad kompleksem domków i rezydencji z białego piaskowca, pokrytych kolorowymi dachówkami. Mieszkańcy królestwa po ulicach chodzili bez strachu i nędzy, bo choć państwko bogate nie było, każdy prawie po równo miał majątku.

Na północ od Wierzb rosła puszcza, stara i dumna w swoim majestacie. Na brzegu jasna i pełna zwierząt grasujących między drzewami i pośród runa. Obleczone słońcem w południe i chłodnym wiatrem w nocy, zachęcała do spacerów. Ale im głębiej w bór, tym mniej życia dało się dostrzec i usłyszeć, a światło dochodziło tylko gdzieniegdzie i tam cosik trwało, lecz jeszcze dalej nic, jeno mrok i martwa cisza, czasem tylko zakłócone spadającymi owocami dębów i kasztanów. Mówiono, że w sercu lasu mieszkają tajemnicze istoty o złych zamiarach. Ponoć chodziły po ziemi, jakby ich była, i w istocie być musiały, ponieważ nie od zawsze na wyspie mieszkali ludzie.

Wstępu do lasu surowo zakazywał królewski dekret i nawet wojowie znali zaledwie jego skrawek. Wierzbianie istnieli sami dla siebie, nie interesując się

otaczającym ich światem. Ponieważ od stuleci nie czuli prawdziwego lęku, nie rozpoznali nadciągającego z puszczy zła.

Życie w Wierzbach toczyło się zwyczajnie. Początek lata zwiastował fetę, podczas której świętowano nadejście nowej pory roku oraz Matce Naturze składano ofiary: z owoców zza murowych sadów i ryb z miejskiego jeziora. Wierzbianie nie czcili bogów, ale nie kwestionowali ich istnienia. Uważali, że jeżeli kiedykolwiek interesowali się życiem stworzeń, to już dawno o nich zapomnieli i do nadniebnych krain odeszli, by ucztować i bawić się po koniec czasu. Natura to co innego. Natura jest wieczna w swym corocznym odrodzeniu i ją celebrowali.

Tak oto cały lud zbierał się na miejskim placu, gdzie rosły drzewa pomarańczowe i oliwne. Najpierw przemawiał król z córką, synem i swą żoną u boku. Następnie młodzi, chłopiec i dziewczynka, kładli dary na skrawku trawy w tym właśnie celu wyznaczonym. Ofiara miała tam zostać dopóki nie zgniła i nie obróciła się w proch, zabrana przez swą rodzicielkę. Gdy zaś ceremoniom stało się zadość, wszyscy obficie jedli i tańczyli. Grajkowie grali na bębnach, lutniach i skrzypkach. Także rodzina królewska dołączała do zabawy, bo nie stronili od gawiedzi — traktowali ich nie jako równych sobie rangą, ale jako równych sobie ludzi.

Był to czas, kiedy młodzi łączyli się w pary. Dobierali się w specjalnym tańcu. Dziewczyny do wzięcia nosiły czerwone korale z jarzębin, a kawalerowie łańcuchy z grawerami. A gdy pary decydowały, wymieniały się ozdobami, by odróżnić można wolnych od uczuciem zniewolonych i nie wszczynać niepotrzebnych kłótni. Taniec miłości stanowił tylko formalność. Młodzi mężczyźni uganiali się za wybrankami już wcześniej, ale nie było zawierania małżeństw bez uprzedniego tanecznego spektaklu. Starożytny układ wykonywano co roku od pokoleń i było to jedno z niewielu wydarzeń, jakie łączyło całą wyspę, tak bardzo przez wieki podzieloną.

Nikczemna moc, uspiona niegdyś przez potężnych wojowników, obudziła się z ciężkiego snu. Kiedyś żywa istota, teraz nie miała już ciała ani kształtu. Została po niej tylko energia — czarna jak smoła i lodowata jak zimowy

poranek. Duch niegdysiejszego monstrum wyłaniał się z głębin lasu, gdzie ponoć ludzka noga nie stawała od czasów wojny, i zemsty pragnął oraz by pożerać ludzkie życia, mając nadzieję, że znów stanie się materią. A potem, potem zawładnie wyspą. Nie tylko królestwem żywych, och nie, także królestwem umarłych i tych pomiędzy. Wiedział albowiem, że przyjdą mu służyć, kiedy będzie tego potrzebował.

\*\*\*

Skąpane w słońcu błonia spały spokojnie, wiatrem nie smagane. W powietrzu lewitowały bąki i motyle, przeganiane śmiechem Słodkiej. Korzystała z chwili wytchnienia od królewskich spraw, jak nauka gry na instrumencie, śpiewu, haftu, arytmetyki i dobrych manier. Pod bacznym okiem strażników biegała po łąkach, z uśmiechem na twarzy goniąc robaczki i dmuchawce wznoszące się leniwie ku niebu. Czasami psociła i kryła się w wysokiej trawie, a wtedy strażnicy dobywali mieczy i biegli na poszukiwania, myśląc może, że ją jaki zwierz porwał. A ona wychodziła w końcu z kryjówki i swawoliła dalej.

Pogodną była dziewczyną — pełną życia i wigoru, zawsze życzliwą i szczodłą dla innych, tak jak uczyli ją ojciec i matka. Żadne złe słowa, choć wprawdzie bolały z początku, nie mogły jej krzywdy uczynić. Jej urodę podziwiano w całych Wierzbach, a nawet poza nimi. Nie była nijak próżna. Nic nie robiła sobie z zalotów przystojnych rycerzy, co w kolejkach po jej rękę się ustawiali, ani z zazdrosnych spojrzeń dwórek.

Chciano ją na prawą kobietę wychować, lecz dziecinna była jeszcze w zachowaniu i myśleniu. Nie martwiono się o to zbytnio — czas miała na mądrości. Król wolał, by młodości używała, nim dopadną ją dorosłe troski. *Niech się bawi lalkami* — mawiał z politowaniem. — *Wyrośnie z nich, nim się obejrzymy!* — dodawał ze śmiechem, gdy mu żona kazania prawiała.

W komnacie zdjęta buciki, by pochodzić boso. Lubiła chłód posadzki pod stopami. Podeszła do krzewu róż zasadzonego na tarasie, ażeby sprawdzić, czy

mu wody nie brakuje. Jakaż ją trwoga zmoęła, kiedy zobaczyła zmarniałe kwiaty, które przecie tego ranka jeszcze rozkwitały jak malowane. Dotknęła z przykrością płatków — opadły bezsilne. Poczwała zimno w dotyku i zdziwiła się. Podumała zmartwiona nad stratą, po czym opuściła pokój z zamiarem odwiedzin u ojca.

Drzwi do jego biura zostały niedomknięte, przez co mogła usłyszeć niespokojne głosy. To namiestnik zdawał raport. Brzydko było podsłuchiwać, wiedziała o tym, ale powięzała rozmowę ze śmiercią róż, więc przystanęła, łapiąc strzępki rozmowy.

— Plony marnieją, panie. Zmarznięte jakby je sroga zima zastała, a przecie lato w pełni! Pogoda dopisuje, słońca i deszczu po równo, powinny rosnać jak chleb w piecu. A całą roślinność lichy ścięło. Zaraza to jaka albo...

Nastała długa cisza i na moment zlékli się, że ją odkryli. W końcu jednak król-ojciec przemówił:

— Nie zaraza to, tylko jakieś czary, klątwa, coś straszego.

— Czarów nie ma, Wasza Miłość. Skończyły się wraz z wojną. Nasi dziadowie dopilnowali tego. Prawda...?

— A jednak bez wyraźnej przyczyny całe pola więdną i kwiaty w donicach. Spójrz, Kamieniu, na plac w dole. Nawet pomarańcze zmarszczone...

Nie słuchała już więcej. Nie lubiła strapionego głosu ojca. Poszła pobawić się z kuzynkami. Nie zaprzętała sobie wtedy głowy smutkami. Tylko czasami przypominał jej się widok martwych róż...

Po mieście rozeszła się nowina, że urodzaju w tym roku nie będzie. *Toż to pierwszy raz od lat* — komentowano. — *Tak wielu, że nawet starcy nie pamiętają!*

Wierzbianie szybko podupadli na duchu. Nie uśmiechano się do siebie i nie grano już w karty przy winie. Grajkowie zapomnieli pieśni, a dzieci nie goniły się po krętych zaułkach. Powodem nie była jedynie tajemnicza plaga. Coś jeszcze wisiąło w powietrzu, wdzierając się ludziom do głów. Smęty same czy rozterki wypełniły domostwa, nie dając nikomu spać w nocy ni żyć w dzień. W końcu zaraza sprawiła, że ludzie czuli się zmęczeni, przez co nie wykonywali



swoich obowiązków. Wpełzali do łóżek z nadzieją, że do zdrowia szybko powrócą. A gdy się tak położono, już nie wstawano. Ciała szarzały i chudły, włosy płowiały i oczy mglistymi się robiły. Później majaki występowały i był to ostatni etap w podróży do zaświatów. Choroba zabijała całe rodziny, nikogo nie oszczędzając. Dzieci, ciężarne, starcy, rośli mężowie — wszyscy padali w cierpieniach, choć nikt nie umiał rzec dokładnie, w czym tkwi ból.

Słodka nie bawiła się już na błoniach. Siedziała całe dni w zamknięciu. Matka przychodziła rzadko, bo wraz z królem odwiedzali chorych. Zanosili podarki z zupy i koców tym, którzy dopiero zachorowali, ale też po to, żeby zapewnić godną śmierć tym, co dla nich ratunku już nie było. Czyn szlachetny, jednak nie popłacił. Lud konał nadal, a tymczasem para królewska zdała się choróbsko okrutne złapać. Tak to już jest na świecie, że licho nie wybiera i nawet królowie i królowe nie mogą czuć się bezpieczni w walce z zarazą.

Siedziała przy nich obojgu, gdyż razem w uścisku pocieszenia leżeli. Płakała po cichu. Sama, bo tak nauczyli ją rodzice.

— Płacz, maleńka — powtarzał ojciec. — Łzy, nawet ze złych powodów, są dobre. Ale nie pozwól, by inni widzieli twoją słabość.

Królewicz Iskra przejął tymczasowo sprawunki królewskie, wspomagany przez tych namiestników, którzy jeszcze żyli. Lecz młody był bardzo, młodszy jeszcze od Słodkiej. Niewiele umiał, a mniej wiedział. Kilka dni głowili się i głowili z medykami, jak królestwo uratować. Myślano już nawet, żeby wynieść się gdzieś i osiąść. Medycy wątpili jednak, czy ucieczka rozwiąże problem, bo jeśli choroba w ludziach jest, gdzie nie pójda, ona pójdzie wraz z nimi.

Słodka odpoczywała (choć to bardzo frywolne słowo w jej sytuacji) na tarasie, gdy przyszedł Kamień z wieściami.

Wysokim i barczystym jawił się mężczyzną. Posturę miał jak na wojownika przystało, długie włosy i brodę należycie przycięte, a oczy jego patrzyły łagodnie, ale i ostrzegawczo. Znacząco mówiły: rozeźlij mnie, a urwę ci łeb jednym ruchem mych wielkich dłoni.

Słodka lubiła go i nie bała się wcale, bo zawsze posłuszny był i miły. Miał dostojny, niski głos, którego chętnie słuchała. Czasami żartował z niej tym

swoim głosem, lecz w tak wysublimowany sposób, że nigdy mu za złe nie miała. Dziś jednak żartów nie było.

— Pani — zaczął oficjalnie, lecz westchnął i, jakby głaz przygniótł mu ramiona, oklapł. Usiadł na krześle obok niej i kontynuował naturalnym, wręcz ojcowskim tonem: — Słodka, kochana królewno, ze smutkiem przynoszę okropną wiadomość. Twój brat, królewicz, nie żyje. Zaraza dotknęła go wieczorem, a ponieważ wątpliwy był i chorowity z zasady, zmarł tego ranka. — Schował twarz w dłoniach i zapłakał, a ona zapłakała wraz z nim. Zapomniała o radach ojca. Skoro mąż potężny jak Kamień, nie tylko z imienia przecież, łzy ronił, jak ona, mała dziewczynka, mogła powstrzymać swoje?

Pogrzebali całą rodzinę królewny w wielkim żalu i choć długo ich opłakiwać chciano, jak nakazywały tradycje i jak im winni byli, wciąż nie znaleziono lekarstwa na moc niszczycielską i tym zajmować się musieli.

— Nie wiem, co robić — szeptała Słodka zdruzgotana. Teraz to ona dworem władała i brzemień to przytłaczało ją niezmiernie. Kamień służył radą i w sumie jego decyzjami wszystkie były. — Jestem taka zagubiona. Mój ojciec, król, nie poradził sobie z plagą, niech ją!, a co dopiero ja?

Poczuła się mniejsza niż w istocie, i głupsza. Nic nie wiedziała o królowaniu!

— Pani moja — rzekł zrazu Kamień niepewnie. — Medycy bezradni. Siły nieczyste mnie i ciebie przerastają. Być może to czas, by zwrócić się o pomoc do tajemnych mocy?

— Magii? — zapytała i widząc skinienie, odrzekła: — Przecież magii nie ma. Ojciec powtarzał, że to bzdury. Bardzo ciekawe i ładne czasami, ale to zwykłe bajdurzenie!

— Tak — odparł Kamień spokojnie, bacznie słowa dobierając — ale wszystko inne zawiodło, pani. Twój ojciec przeczuwał obecność czegoś silniejszego od nas. Być może rację miał. Chodzą słuchy na mieście, że znachorka Ropucha po domach wędruje i zaklęcia rzuca na ludzi, a oni czują się lepiej. Nie zdrowieją niby, ale życie dłużej w nich się tli. Ona coś wie, na pewno.

Słodka nie dała się długo przekonywać. Sama żadnego pomysłu nie miała, to i taki lepszy niż patrzeć i czekać na bolesny koniec. Posłano więc po Ropuchę. Przyszła, acz nie spieszyła się ni trochę, jakby czasu było pod dostatkiem.

Ropucha zwała siebie znachorką i naprawdę nią była. Złośliwi wytykali jej, że jest wiedźmą i czarne czary uprawia, klątwy rzuca i złośliwie tym, co ich nie lubi. Stara była –starsza podobno nawet, niż się przyznawała. Pomarszczona jak rodzyńka i zgarbiona od ciągłego ślęczenia w miksturach. Łaziła do ludzi lub oni do niej i pomoc niosła w chorobach, rady dawała. Uczciwie fach swój wykonywała, bo inaczej w Wierzbach nie wolno było, ale zapłaty żądała zawsze, czasem bardzo wysokiej. A ludzie płacili, bo i czemu nie, skoro skuteczna była bez wyjątków. Gdy zaś lekarstwa nie znała, odchodziła bez grosza.

Stała oto przed królową i namiestnikiem. Słodka bała się jej trochę i gdyby królewska krew w niej nie płynęła, nie otworzyłaby ust w jej stronę.

— Posłałiśmy po ciebie, Ropucho — odezwał się Kamień — bo ponoć ludziom pomagasz i lepiej się choć na chwilę mają i niczego nawet nie żądasz.

— Ano nie żądam — powiedziała stara skrzekliwie. Kiedy patrzyła spode łba, zupełnie ropuszo wyglądała, jakby imię rodzice jej nadali z wiedzą o przyszłym córki obliczu. — I pomagam, toć ja tylko ból uśmierzam w cierpieniach, jak mnie matka i babka nauczyły.

Skłoniła się nisko, lecz sztucznie.

— Gadaj, co wiesz, lub każę cię ściąć albo sam to uczynię!

Na tę groźbę Ropucha oczy zwięzła, nienawistne spojrzenie rzucając. Uśmiechnęła się zjadliwie, mówiąc:

— Jak mnie, namiestniku, zetniesz, to wszyscy pomrzecie i nikt już nie będzie o nas pamiętał. Nikt! Ponadto, o ile mnie dobrze poinformowano, zostałam przez królową wezwana, nie zaś przez namiestnika. — Patrzyła uważnie na królową, która drżała w środku, że czegoś od niej chcą.

Opamiętał się Kamień i położył dziewczynce rękę na ramię, otuchy dodając.

— Proszę, Ropucho, powiedz, jeśli tajemnicę jaką znasz. Mój tatko... król nie żyje. I matka moja i brat. Mój lud pada jak te muchy, co je Iskra łapał i skrzydełka wyrywał. Nie chcę już na śmierć patrzeć, tyle jej wkoło!

Prawie łzy w oczach miała, gdy tak błagała.

— o nagrodę się nie martw — dodał Kamień, wiedząc, czym prostych ludzi do gadania przekonać. — Jeśli wiedza twoja znacząca, otrzymasz, co zechcesz.

Udobruchana starucha przywołała chytry uśmieszek.

— Nawet dworek? Ze stajnią taki i altanką z winoroślą?

— Tak! — prawie krzyknęła Słodka. — Tak i jeszcze sto razy tak, tylko mówże wreszcie!

— Dobrze zatem. Ale to dłuższa będzie i niepokojąca rozmowa. Przenieśmy się w wygodne fotele może, co ty na to, pani?

Tak zrobili. Przeszli do salonu z kominkiem. Wieczór nastał, więc drwa płonęły, dając nikłe światło. Rozsiedli się w fotelach, a Ropucha, usadowiwszy się wygodnie, głąskała ałasowe obicie, o tym, kiedy zasiądzie na własnym ałasowym tronie, rozmyślając.

Nalano im wina i przyniesiono suche ciastka. Starucha dwa naraz zjadła, sporo trunkiem popijając. Kiedy skończyła, usta w rękaw brudnej szaty wytarła.

— Zaczynaj — nakazał Kamień surowo.

Znachorka złożyła ręce na podolku. Twarz jej okalał blask ognia i gadzie lico wyglądało złowieszczo, a oczy błyszcząły jak gwiazdy zagłady.

— Nie powiem wam, czym dokładnie jest to, co nas nęka, bo nie wiem, i zabijcie mnie, jeśli nie wierzycie. Ale wiem jedno: starożytny i potężny mrok wisi nad nami. Siła jakaś bezkształtna, złe słowo z wiatrem puszczone, gorsze od najgorszych ludzi. To tylko osądy moje, ale z puszczy zdaje się wyłazić. Żądzą tej siły jest śmierć rodzaju ludzkiego i nie spocznie ona, dopóki nie dopnie swego.

Słodka słuchała ze strachem, jak kiedy matka opowiadała jej straszne legendy.

— Czy można ją powstrzymać? Tę siłę? — spytał Kamień.

— I tak, i nie — odparła tajemniczo Ropucha. — Uśpić raczej niż pokonać da się ją. Trudne to jednak i niebezpieczne. Długą drogę trzeba przebyć, ażeby tego dokonać.

— Dokąd ta droga prowadzi?

— Do serca puszczy.

— Tam przecie tylko ruiny dawnego miasta — zaprzeczył namiestnik, zmartwiony, czy aby jędza bajek nie opowiada, by na skarbie królewskim łapy położyć.

— To one istnieją? — zapytała Słodka, szepcząc prawie, i to pierwszy raz był, odkąd usiedli, jak przemówiła.

— A i owszem — zgodziła się stara i na królową wzrok przeniosta. — Tam się zrodziła, tam się zbudziła i tam tylko może zginąć.

— Jak ją zabić? — niecierpliwiał się mężczyzna. — Do sedna, boś nie bard, tylko wiedźma stara!

— Nieładnie tak gościa, który z pomocą przychodzi, obrażać — nadęła się. — I nie zabić, powtarzam, jeno wystać do innych światów, by spoczęła na dnie gorących czeluści we wnętrzu ziemi.

— Jak? — Tym razem Słodka ją pogoniła, gdyż rada była, że ktoś wytłumaczenie kłopotów znalazł.

— A bo ja wiem? Niewiele z historii wojennych do dzisiaj przetrwało, bo ojcowie wasi, o pani, skrywali je skrzętnie, aż część z nich zapomniano, jak się zdaje, tych najważniejszych. Przodkinie moje zaś wiedzę tę przekazywały sobie jak cenną pamiątkę, lecz same nie wszystko wiedziały. Mawiały, że waleczny król tamtejszych czasów w pojedynkę kres istocie położył, ale jak to uczynił, nikomu nie wyjawiał. Faktem w każdym razie jest, że źródło potwora tylko w sercu lasu się znajduje.

Ciarki na plecach wychodziły od słuchania takich opowieści, ale rady nie było, sprawdzić prawdomówność Ropuchy należało. Wyruszyli więc namiestnik i królowa pod eskortą szlachetnych rycerzy na dorodnych koniach. Z początku Kamień zakazał Słodkiej jechać, lecz królowa wiedziała, że ojciec pojechałby

i tak ona poczynić musiała. Ciekawiła ją poza tym podróż daleka, gdyż nigdy głębin puszczy nie odwiedzała.

Zanim jednak udali się, Ropucha kilka spraw wyjaśniła:

— Podstępny jest nikczemnik i będzie was ścigał. Podąży za wami wszędzie, więc nigdzie nie będziecie bezpieczni. Nie może wam żywej krzywdy wyrządzić, bo nie ma ani rąk, ani zębów, ani niczego cielesnego. Ale potrafi opętać żywą istotę tak, że nawet ukochanych zabije. Walczyć z tym nie sposób, aczkolwiek jest pewne zaklęcie ochronne.

Rzuciła czar na królową, pałac kości z niewiadomego źródła i śpiewając inkantacje w nieznanym języku. Kości specjalne ponoć były i Ropucha ostatnie na Słodką zużyła, dla Kamienia już nie starczyło. Powiedział, że się nie boi, ale twarz mu szarzała i Słodka czuła, że kłamie, rycerską dumą i wiernością wiedziony.

— I spieszcie się — rzuciła stara na pożegnanie. — Niecierpliwy jest potwór, długo spał i śnił o władzy. Spieszno mu do niej. Ja będę dalej ludzi leczyć, może zdążycie na czas!

I pędzili tak przez gęsty las, dumając, czy misja ich powodzeniem się zakończy. Dopóki słońce oświecało im drogę, byli spokojni. Lecz gdy wysokie i stare drzewa przykryły niebo, nagłe zwątpienie w nich nastąpiło i nie mogli go powstrzymać.

Słodka patrzyła, jak przemykają jej przed oczami czarne pnie i granatowe korony. Nic poza tym obrazkiem innego nie widziała i domyślała się, że nic innego po prostu nie ma. Czasami tylko wydawało jej się, że wśród ciemności kształty jakieś migają, ale kładła to na karb strachu i mrocznych Ropuchy opowieści.

Postoje robili rzadko i na bardzo krótko. Jednego takiego razu odeszli od orszaku Słodki i Kamień, ażeby nogi rozprostować. Nie mówili wiele, a kiedy to robili, głosy ich niesły się dziwnie w przestrzeni, jakby roślinność łąpała każde słowo. I, cóż tu ukrywać, pewnie tak było.

Odgłosy walki się rozległy. Wrócili do obozu ostrożnie i okropny widok zastali. Człękoksztaltne, włochate stwory walczyły z wojami i zwinne były oraz szybkie. Pazurami raniły rycerzy i zębami odgryzały ludzkie mięso od kości.

Kamień jedną ręką schwycił królową, prowadząc ich do ucieczki, drugą dobył miecza. Uciekli między drzewa, aż odgłosy bijatyki ucichły. Stanęli, żeby oddech złapać. Nagle potwór z góry skoczył i zębiska w kamieniowe ramię zatopił. Ale mężczyzna równie szybki był i dźgnął napastnika i znów biegł bez chwili wytchnienia. Las gęstniał, jakby chciał ich otoczyć, ścisnąć na śmierć. Nagła wichura nim wstrząsnęła i przenikliwy chłód nastąpił. Słodka w końcu z sił opadła. Znów zatrzymać się musieli.

Usiadła skonana, nie bacząc, że wilgotna trawa brudzi jej sukienkę, a igliwie kłuje pośladki.

Kamień stał spokojnie, rozglądając się wkoło.

— Zgubiliśmy się — oznajmił bez ogródek. Zaczął chodzić od pnia do pnia mchu szukając, by kierunek północny wyznaczyć. Ramię mu krwawiło, lecz zdawał się na to nie zważać.

Słodka skuliła się w sobie. Próbowwała z pamięci wyrzucić obraz krwi i potwornych zębów. Uspokoila się nieco i zauważyła, że towarzysz stoi przy niej. Myślała, że drogę odnalazł, ale jednym spojrzeniem dostrzegła, że jakiś inny jest, nieobecny. Oczy jego patrzyły zachłannie, niemal obłąkańczo. Miecz uniósł gotów własną królową zgładzić, ale przeczołgała się do tyłu i podniosła do biegu, wiedząc, że to czarnomagiczna siła ciała jej przyjaciela przejęła. Gnała przed siebie i myślała gorączkowo, jak rośtemu mężowi umknąć, kiedy ona taka mała i chuda.

Drzewa ruszane wiatrem kłaniały jej się szyderczo, jakby chciały rzec: *Uciekaj, królowno, bo żadne tytuły już cię nie uchronią.*

Na jej szczęście głęboki parów zobaczyła. Podbiegła do skraju i z rozpacz zapłakała. Za wielki i stromy był, by się weń zsunąć. Odwróciła się. Kamień szedł na nią poruszany mocą jak lalka w teatrze. Wysoko uniesiony miecz lśnił, ociekając krwią włochatej bestii.

Pochwycił ją namiestnik.

— Chodź, królewno, no dalej. Nie zrobię ci krzywdy. Do naszego pana cię zabiorę, on zdecyduje o twym losie.

Szarpała się i gryzła. W całej tej szamotaninie wyrwała się w końcu i odepchnęła mężczyznę. Ze zdziwioną miną cofnął się chwiejnie, wolną dłonią chwycił koronkowy rękaw, który podarł się, a Kamień runął w przepaść, krzycząc wściekle.

Zerknęła za krawędź. Kamień począł wspinać się po zboczu, korzenie łapiąc, ale osuwał się na zbyt śliskiej ziemi. Złorzecząc dziewczynce, którą jeszcze niedawno kochał jak własną córkę, pluł i warczał. Taka to mroczna potęga jego serce i umysł przejęła.

\*\*\*

Okrutny czas nastał dla Słodkiej — pełen samotności, zmęczenia i żalu.

Cudem odnalazła karoce, po cichutku oględzin dokonała. Szkarady zniknęły, dwa konie uciekły ze strachu, a reszta zarżnięta leżała. Rycerzy zaś ubito wszystkich. Nikt już nie został, kto by ją mógł ochronić. Od tej chwili była zdana tylko na siebie.

Wzięła skórzaną torbę i naładowała ją jedzeniem, bukłakiem z wodą i innymi przydatnymi w podróży przedmiotami. Znalazła też kubrak i włożyła, żeby w nocy się nim otulić.

Błądziła, bez pewności żadnej, dokąd idzie. Na kierunkach się dobrze nie знаła. Tylko gwiazdy umiała czytać, ale gwiazd i tak nie było widać, tak gęsty baldachim z liści nad nią wisiał.

Szybko zużyła zapasy, gdyż niegospodarna była, przez co przez kolejne dni musiała nabierać wody ze strumieni i zbierać borówki. Modliła się tedy, by Matka Natura trujących owoców jej nie podsunęła.

Myślała często o rodzinie i Kamieniu. *Biedny — ubolewała. — Wiernym kompanem był i człowiekiem szlachetnym, a taki koniec go spotkał. Nie zastużył sobie na niego, oj nie...* Nie sądziła bowiem, by przeżył, i smuciło ją to niezmiernie.



Zaczęła wątpić, że dobrą drogę obrała. Szła i szła bez końca, jakby bór sam ją na manowce sprowadzał. Czuła również złej mocy obecność.

*Wszystko na nic! Stracona jestem i mój lud także! Och, losie niedobry, za co te klęski? Czyżbyśmy zbyt szczęśliwi we Wierzbach byli? Czy to kara jakaś za opieszałość naszą i rozpustę?*

Aż wydarzyła się rzecz niezwykła.

Jakaś postać schylona doń tyłem w runi grzebała i grzyby zrywała.

Schowwała się Słodka za drzewem, by nieznajomą podpatrzeć. Uznała ją za istotę nadobną i specyficzną. Pod ciemnozieloną sukienką przewiązaną rzemykiem, u którego różnego rodzaju sakwy wisały, kryła się pomarańczowa skóra. Gładką i długą szyję opływały włosy koloru morza, przewlekane złotymi warkoczami. Gdy się zwróciła przodem do Słodkiej, pokazała okrągłą buzię — ładną, ozdobioną zielonymi oczami, małym noskiem i różowymi jak maliny ustami. Na policzkach mieniły się srebrne piegi.

Nagle przemówiła.

— Nie chowaj się, głupia. Słyszałam cię już z daleka. Ciężkie masz kroki jak słoń, mimo iż jak wróbel małaś.

Słodka zawstydzona i lekko przestraszona wyszła jej naprzeciw, sztylet za plecami chowając, a ona dalej grzyby zbierała, nie patrząc w ogóle. Dopiero po chwili się wyprostowała i królownę uważnie obejrzała.

— Oj, ty miernoto. Zgubiona czy żeś od rodziców uciekła? Bili cię tam? Do niewoli zmuszali? Sera robienie ci się znudziło i przygód szukasz?

Gdy tak mówiła, pod boki się podparła. A widząc, że nowo poznana rozmawiać nie skora, podeszła doń i chwycić za rękę chciała. Na to Słodka sztyletem jej zagroziła, a niebieskowłosa odskoczyła.

— Hej! Opuść broń. Nie wiem, jakie przygody masz za sobą, ale mnie się lękać nie musisz. Wyglądasz jak sierota, jeść potrzebujesz. Rozłożyłam się nieopodal. Ogień płonie i królik piecze się na rożnie. Z grzybami go zjemy, starczy dla obu. Dwa razy nie poproszę.

Niepewna była królowna co do intencji nieznanym, ale tak dawno ciepła nie zaznała ni posiłku gorącego, ze zmęczeniem się zmagając. A dziewczyny oczy łagodnie patrzyły, toteż zgodziła się do ognia zabrać.

Przedstawiły się sobie. Istota nosiła imię Bezsenna.

— Co cię sprowadza w tę ciemnicę, jeśliś łaskawa powiedzieć? — spytała Bezsenna. Widząc wahanie na twarzy Słodkiej, sama zaczęła mówić. — Siadaj przy palenisku, ogrzej się. Tylko najpierw odłóż sztylet pięć kroków od siebie. Życzliwa jestem, ale nie znam cię i przezorna być wolę.

Wszystko już jedno było królownie. Zrobiła jak jej kazano. Ze smakiem i ochotą zjadła potrawę, choć królewskiej strawie nie dorównywała. A wszystko w milczeniu. Jeny Bezsenna opowiadała.

— Pochodzę ze wschodniego brzegu, z nadmorskiej Wioski Bobrów. Wiem, dziwna to nazwa, bo żadne bobry tam nie mieszkają. Ale ktoś wie tak naprawdę, jakie historie kryją się za nazwami. Znasz wschodnie krainy? — Widząc kręcenie głową, rzekła: — Szkoda. Ładnie tam jest. Opowiem o sobie, jeśli chcesz słuchać, bo nic do ukrycia nie mam, a dawno z żywym człkiem nie gadałam. Chcesz? — Zachęcona skinieniem opowieść zaczęła. — Pewnie dziwi cię wygląd mój, co? No to powiem ci, że mnie trochę też. Dawno temu ojciec mój, który normalnie jak ty wyglądasz, znalazł mnie i moje siedem siostr u progu swej chaty. Wyobrażasz to sobie? Osiem córek naraz i to bez kobiety u boku! No, ale co począć. Dać umrzeć z głodu dzieciom, nawet cudacznym, nie przystoi. To wziął nas pod opiekę i wychował. Nikt się szczególnie w wiosce nie przejął. W końcu magiczne stwory widywali już nie raz i nie dwa.

Słodka uszu nadstawiła. Uczono ją bowiem, że czary nie istnieją, a tu Ropucha zaklęcia wiedźmie rzuca, potwory ludzi jedzą, a pomarańczowe istoty po lasach wędrują. Nie wspomniawszy o mrocznej sile, która ostatnio przygasła, ale z pewnością powrócić miała.

— Żyłam więc sobie w Wiosce Bobrów biednie, lecz spokojnie. Ojciec cieślą jest, ale niezbyt dobrym, to mu płacić należycie nie chcą. I wiesz... jakoś mnie tak do innych światów pchało zawsze. Często myślałam, skąd pochodzimy,

ja i moje siostry w sensie, i gdzie nasz lud mieszka, a może innych takich jak my nie ma na wyspie wcale? Muszę się tego dowiedzieć, choćbym umrzeć miała.

Nastała cisza pełna zadumy.

Słodka uspokoiła się i najadła, więc powiedziała do Bezsennej:

— Dziękuję.

To jedno słowo jakby jej ciężar z serca zdjęło. Już mogła rozmawiać. I chciała to zrobić.

— Zgubiłam się w lesie i nie mogę do domu trafić.

— Dobrze, że ci głos wrócił — powiedziała Bezsenna, odetchnąwszy. —  
Wiem przynajmniej, że niemową nie jesteś. Skąd pochodzisz?

— Z północy.

Zdziwiło ją własne kłamstwo, gdyż w domu prawdomówna była, nawet jak co złego zrobiła. Ale to nie był dom. Tu prawda nie miała znaczenia.

Bezsenna podejrzliwie na Słodką spojrzała, ale nic nie powiedziała. Siedziały w milczeniu, aż się istota odezwała:

— Słuchaj, Słodka-sieroto, ja na północ zmierzam. Pomogę ci tam trafić, jeśli sobie tego życzysz.

Przespały się i Słodka po raz pierwszy od dni kilku prawdziwie zasnęła. Budziła się często co prawda, żeby sprawdzić, czy Bezsenna czego nie knuje. Sztyletu też pilnowała na wypadek, gdyby towarzyszkę zło opętało. Obyło się bez przykrych wydarzeń i ruszyły, gdy były gotowe. Pory dnia w lesie nic nie znaczyły. Tu zawsze panowała noc.

Nie rozmawiały wiele, raczej Bezsenna monolog prowadziła. A mówiła dużo i ciekawie. Sporo o rodzinnej okolicy, trochę o siostrach, najmniej o sobie samej. *Och, jak dobrze się stało, że ją spotkałam* — myślała Słodka z ulgą ogromną jak morskie fale. Słuchała dziewczyny wiernie, natomiast w czasach ciszy gorączkowo rozmyślała, jak znajdzie miasta dawnego zgliszcza. Nie szły bowiem leśnym traktem, tylko obok gdzieś, nie wiadomo jak daleko. Zapytała Słodka sprytnie:

— Czy do serca puszczy długa droga? Tam podobno ruiny piękne leżą, może by tak zajść i popatrzeć?

— Nic o ruinach żadnych nie wiem i nie ciekawią mnie. Co ci po murach, kiedy puste? Tylko duchy tam zobaczysz i strachu się najesz.

Natknęły się na kotlinę niewielką i ku ucieście ich oczu, słońcem opływającą. Ponad drzewami lało się czyste niebo, mącone jedynie przez przelatujące ptaki. Oaza kusiała wędrowców swymi walorami, na tyle szczęśliwych, by na nią trafić. Z przeciwległego wzniesienia spływał wodospad prosto do jeziora, krystalicznego i bijącego kojącym ciepłem.

Lżejsze na duchu usiadły na miękkiej trawie, by wyprane ubrania nad ogniem wysuszyć. Słońce chyliło się ku zachodowi i niebo z lazuru w szkarłat przeszło. Wysoko w górze majaczył księżyc, pełnię zwiastując. Natchnione tymi widokami śpiewały znane sobie piosenki i opowiadały zasłyszane od innych bohaterskie historie.

A w nocy spełniły się Słodkiej najgorsze oczekiwania.

Bezsenna siedziała spokojnie, medytując nad czymś głęboko, gdy nagle otworzyła zasłone bielmem oczy i wydała okrzyk bóleści. Na czworaka padła i zaczęła mamrotać obce słowa, trochę podobne do tych, które recytowała Ropucha, zaklęcie ochronne na królownę rzucając. Skończyła i Słodka już stała gotowa ją sztyletem ugodzić.

Bezsenna własnym głosem przemówiła:

— Kim jesteś, demonie?! Jaką siłę niszczycielską za sobą wleciesz? Gadaj! I sama sztylet wyjęła, nie wiadomo, gdzie go wcześniej trzymając.

Słodka ścisnęła broń oburącz w drżących dłoniach i milczała w oczekiwaniu na walkę.

— Nie ośmieszaj się — rzuciła Bezsenna pogardliwie. — Na fechtunku się nie znasz. Ukradłaś mieczyk albo znalazłaś i chojraka zgrywasz. Jednym skokiem mogłabym cię powalić. Albo zaczniesz mówić, albo ci gardło poderżnę ani się obejrzysz!

Za dużo tego było dla małej królowny. Łzy gorące po jej rumianych policzkach popłynęły, na kolana padła, o śmierć błagając. Opowiedziała wszystko niedosłej przyjaciółce o zarazie, o śmierci ludu i króla, i matki, i brata, o Kamieniu, a zwłaszcza o monstrum, którego oddech na karku wiecznie czuła.

*Nie chcę żyć — płakała. — Nic już nie mam. Zawiodłam i nawet pieśni o mnie nie napiszą, że próbowałam...*

Opuściła sztylet Bezsenna. Wściekłość opadła i litość ją zastąpiła. Zamiast zabijać, podeszła do nieszczęsnej i pod ramię chwyciła.

— Wstawaj, bekso — rzekła twardo, lecz spokojnie. — Nie przystoi królownie przed zwykłą wieśniaczką klęczeć, to po pierwsze. Po drugie, świeżo upraną sukienkę pobrudzisz. Już jak włóczęga wyglądasz. Po trzecie — tu pauzę zrobiła jakby z wahaniem — wspólnie przed siebie pójdziemy. Postaram się przed złem cię obronić, jeśli będzie to w mojej mocy.

Słodka spojrzała na nią z wdzięcznością. Przyjęła dłoń pomocną, bo cóż innego mogła zrobić? Ułożyły się do snu, ale jakoś obie zasnąć nie mogły. Ośmielona, że nie musi już prawdy ukrywać, Słodka zapytała:

— Jak to zrobiłaś, że cię łapska potworne nie dopadły?

— Zwyczajnie — odparła, jakby o czymś oczywistym rozmawiały. — Magią. Nie znasz magii?

Zanim odpowiedziała, Słodka zastanowiła się.

— Wmawiano mi, że magia nie istnieje, że to wymysł bardów i pieśniarzy. A tymczasem wszędzie jej pełno! Okłamywano mnie cały ten czas...

— W Wiosce Bobrów prawie każdy umie czarować. Dziwna ta twoja kraina, że was zaklęć nie uczą.

— Ano dziwna — przyznała Słodka, smucąc się, bo gdyby to robiono, nie byłoby teraz kłopotów tylu. — Co dalej z nami będzie?

— Pójdziemy do pierwszej lepszej osady ludzkiej, a co ma być?

— Osady?! — ożywiła się Słodka i podniosła na łokciu. — W mrocznej puszczy mieszkają ludzie?

— Owszem. Dwa takie miejsca są w całym borze. Pierwsze to Miasto Szubrawców, gdzie osiadają zbiry z całej wyspy oraz ci, którzy nie mają już siły lub chęci, by więcej wędrować. Drugie nazywane jest Miastem Pychy bądź Wielkim Miastem i jest to najwspanialszy gród, jaki możesz sobie wyobrazić, choć jego mieszkańcy trudni są w obyciu i podobno zwyczaje okrutne mają. Mimo tego każdy chce tam mieszkać, tylko nie każdy jest wystarczająco bogaty.

— Zobaczymy je? Te miasta?

— Miasto Szubrawców na pewno. Musimy uzupełnić zapasy, długo na grzybach i borówkach nie przeżyjemy, a i łóżko jakieś na jedną noc by się przydało. Już mnie plecy kłują od tego igliwia. Co do Miasta Pychy, wołałabym tam nogi nie stawiać.

— Dlaczego?

— Bo, pomimo piękna, niebezpieczne jest bardzo.

— Jak chcesz swoich ludzi odnaleźć, nie sprawdzisz każdego zakątka?

— Słuszna to uwaga — uznała Bezsenna i nie rozmawiały dłużej. Zapadły w sen głęboki, a Słodka spała najlepiej od dnia, gdy umarł jej ojciec...

\*\*\*

Tymczasem licho nie spało i każde słowo słyszało. Śmiejąc się (bezgłośnie, bo przecież głosu nie miało), pognało niesione wiatrem do Miasta Szubrawców. Wybrało sobie kobietę o imieniu Rysa, by do jej głowy wleźć i nakazać zgładzić królową przy pierwszej okazji.

Rysa brata miała o imieniu Srebrny. Okłamała go, że za głowę Słodkiej nagroda będzie sowita i przez to muszą ją pochwycić. Zgodził się, bowiem obydwoje bardzo chcieli zamieszkać w Mieście Pychy.

Czekali więc cierpliwie na jej przybycie...

\*\*\*

Bezsenna była osobką zaradną i praktyczną. Każdą pracę wykonywała skrupulatnie i z wprawą, jak na wiejską dziewczynę przystało. Słodka z wdzięczności oraz po to, żeby nie być ciężarem, pomagała, ile mogła. A jeśli nie, nie wchodziła jej w paradę.

Doszły w końcu do Miasta Szubrawców, które mieściło się w ciasnej dolinie i już z góry na nie patrząc, Słodka przeczuła, że zobaczy tam rzeczy, o jakich nigdy nie śniła.

Osada bardziej obóz niż prawdziwy gród przypominała. Zbocze doliny zdobiły szałas z brudnych płacht i gałęzi i ciągnęły się aż do centrum. Tam budowle z gliny albo drewna się znajdowały, choć i one liche się zdawały — jedno okazalsze, inne biedne i brudne, ale wszystkie bez dbałości o architekturę. W wielu miejscach stały zawalone, strawione ogniem domy, nigdy już nie wzniesione po pożarze.

Idąc przez siedlisko, Słodka trzymała się blisko odważnej Bezsennej i obserwowała to, co mieszkało w niesławnym mieście, trochę to ze zdziwieniem, trochę ze strachem i trochę z ekscytacją.

Powietrze wypełniała egzotyczna muzyka, smród dymu i brudu. Szczerbaci mężczyźni grali w karty na kulawych stołkach, a zmęczone, skąpo ubrane kobiety kręciły się bez celu. Półnagi młodzieniec z baraniami rogami na głowie, akwarium z kobietą-wężem, wielkie jaszczurki, psy z kocimi łbami albo koty z psimi łbami, ludzie bez rąk, za to z mackami ośmiornic, dziewczyna porośnięta korą drzewną, zwierzęta wszelkiej maści i inne cuda, jakich we Wierzbach nie uświadczysz, wszystko wspólnie koczowało na kupie!

Pogwizdywano na nie i zaczepiano rubasznie. Bezsenna nic sobie z tego nie robiła, więc Słodka też nie zamierzała. Nie rozumiała tego jednak. Wielu rzeczy już nie rozumiała i chyba powinna się do tego przyzwyczać.

— Ileż to tajemnic skrywa ten las — powiedziała do siebie raczej niż do koleżanki.

— Nie wszystko jeszcze widziałas — mruknęła z przekąsem Bezsenna. — I obyś wszystkiego nie zobaczyła.

Przystanąły przy straganie należącym do starej kobiety śmierdzącej bimbrem. Na małym stole wystawiła bibeloty niewiadomego użytku. Spojrzała na klientki z uśmiechem.

— Panienki zainteresowane? — spytała rozochocona i patrzyła zachłannie. — Amulety mam przed złem chroniące, eliksiry miłosne, ozdóbki, co by piękniejszą być, łyżki do zupy, spinki...

— Łóżka szukamy i strawy — przerwała Bezsenna. — Po długiej i męczącej podróży jesteśmy.

Starowince mina zrzędała i już bez uprzejmości rzuciła:

— Jak kupować nie chcą, to niech sobie innych dobrodusznych szukają.  
— A słowo „dobrodusznych” wypowiedziała prawie z obrzydzeniem.

Na to Słodka z kieszonki sukienki złotą monetę wyjęła. Może i dziecięce sprawy jej w głowie jeszcze tkwiły, ale nie była głupia. Zabrała kilka dukatów, bo drobne przekupstwo znała z pałacowych korytarzy.

— Czy to wystarczy?

Kobiece lico znów pojaśniało i osobiście je do gospody zaprowadziła, o kramiku swoim zapomniawszy. Pewnie ta jedna moneta wart była więcej niż cały towar.

Gospoda stojąca w samym środku Miasta Szubrawców jawiła się jako przybytek pijaków, rozneglizowanych pań oraz gwaru i mieszanki zapachów pieczonego mięsa i piwa.

Znalazły sobie stolik w kącie. Przyniesiono im przypalone mięso i po kubie piwa. Bezsenna dumnie przy stole siedziała, bez grymasu lub uśmiechu i przeganiała natrętnych mężczyzn. Odmawiała grzecznie, lecz stanowczo, a gdy to nie pomagało, sztylet wyciągała i groziła ostro.

— Zjemy, a potem zapytam karczmarza o izbę — oznajmiła dziewczyna.  
— Jutro wyruszymy i w stronę ruin pójdziemy.

— Co z Miastem Pychy? Czy tam też się zatrzymamy?

Słodkiej spieszno było. W domu na pewno coraz więcej jej ziomeków umierało, ale jednocześnie ciekawiło ją najwspanialsze miasto na wyspie. Być tak blisko i nawet okiem nie rzucić, szkoda by było. Tym bardziej, i tu smutek nagły ją w środku ogarnął, że mogła z tej podróży żywa nie wrócić i już nigdy żadnego miasta nie zobaczyć.

— Nie wiem jeszcze. Szczerze mówiąc, nie sędzę. Spójrz na nas. Dwie włóczęgi pijące paskudne piwo i jedzące jeszcze paskudniejsze mięso. Ty ze swoimi złociszami może i byś się tam nadawała. — o pieniądzach mówiąc, ściszyła głos. — Ale ja?

— Na nas obie starczy. Chyba.

Nie wiedziała. Nie znała się na tutejszej walucie.



— Nie ukrywam — ciągnęła Bezsenna — że przez Miasto Pychy prosta droga do ruin. Na około dni całe byśmy szły, takie jest rozległe.

— Jak duży jest las właściwie? — zainteresowała się Słodka.

— Nie mam pojęcia. Chyba nikt tego nie wie.

— Oj, tu się mylisz, panienko — rozległ się przymilny głos tuż obok.

Głowy odwróciły i dwie postaci zobaczyły. Jedną z nich był czarnowłosy chłopak, całkiem w czerni ubrany. Twarz, choć delikatna, nosiła ślady znoju. Druga istota dziwniejszą była: żaba jakaś psa wielkości, z dwojgiem rąk i ogonem śliskim zamiast nóg. Wsparł się żabopodobny stwór na ławkę, o zgodę nie pytając, i kontynuował gadkę zaczęłą.

— Może na liczbach się nie znam, ale puszczyć, uhm, znam jak własną kieszeń. Znałbym, znaczy się, gdybym miał kieszenie. — Oczy mu latały na lewo i prawo, a grdyka pulsowała mocno. Odkasznął i dalej mówił: — Wybaczcie, uhm, złe maniere, ale nie mogliśmy z przyjacielem moim nie usłyszeć, że Miasto Pychy i ruiny, co blisko leżą, was interesują. Czy mylę się, panienki słodkie?

Sztylet załśnił w dłoni Bezsennej już któryś raz z kolei.

— Może tak, może nie — rzekła obojętnie. — Zależy, kto pyta i po co.

Dziwak obie ręce w pokojowym geście uniósł i uśmiechnął się, a był to uśmiech dwuznaczny: mógł oznaczać rozbawienie lub coś mniej miłego.

— Nie ma się co denerwować! Wybacz, powtarzam, złe zwyczaje, uhm. Bubal jestem, a to mój wspólnik Rubin. — Skłonił się chłopak nisko. — Wiem, co się o tym mieście mówi na wyspie, ale nie wszystkim tutaj występkę w głowach. Niektórzy, jak my, uczciwą pracą się parają. Chcielibyśmy nasze, uhm, usługi zaoferować. A że panie nadobne i, jak widzę, zaradne całkiem, cena niewygórowana będzie.

— Dziękujemy — odparła Słodka. — Niczego nie potrzebujemy.

Bubal zaczął kaszleć, aż ślina poleciała. Machnął palcem w stronę Rubina i ten podał mu długą fajkę. Stwór odpalił ją i przestrzeń wypełniła się gęstym dymem.

— Teraz może i nie. Ale po drodze do Wielkiego Miasta co rusz bandyci siedzą i na takich podróżykach jak wy czyhają. Obłupią was i zabiją, a wasze

zwłoki sprzedadzą nekromantom, którzy zrobią z was chodzące trupy na usługach bogaczy. A my znamy puste ścieżki, bezpieczne ścieżki i nawet gdyby kto nas zaatakował, Rubin — klepnął Rubina, aż się chłopak zatrząsł — przyjaciel mój drogi, zna się na walce lepiej, niż niejeden rycerz. Mówię wam z ręką na sercu: dobrze radzimy i nic złego zrobić nie chcemy.

— Teraz tak mówisz — zaprzeczyła Bezsenna. — A może to wy właśnie interesy z nekromantami prowadzicie?

— No, robiło się to i tamto, ale biznes nieopłacalny się okazał. Nie wzbogacisz się na nieżywych, oj nie. Chyba że dużo złota przy sobie mają.

Słodka ukradkiem sprawdziła dotknięciem, czy pieniądze wciąż w kieszonce spoczywają. Wzrok Rubina podłapała i mrugnięcie oka zobaczyła. Speszyła się, bo nie umiała jego intencji odczytać. Pamiętała mrugających szlachciców, ale oni robili to dopiero po wszelkich oficjach, kiedy już wszystko było wiadomo.

Pierwszy raz młodzieniec się odezwał:

— Możecie nam zaufać.

Miał aksamitny, przyjemny dla ucha głos. A może tak się tylko Słodkiej zdawało. W każdym razie łagodny ton, którego używał, rozwiązał jej nieco język.

— Nawet jeśli prawdę mówicie, wy nie możecie zaufać nam. Prawie każdy, kto się do mnie zbliży, przeklęty jest.

— Cicho, głupia! — skarciła ją surowo Bezsenna.

— Ależ żadne tajemnice nie są potrzebne — wtrącił znów Bubal. — Klątwy to też nasza specjalność. No — kaslnął — może nie nasza, ale mamy człowieka od klątw i czarów, i innej magii. Na czym ta klątwa polega, panienko? Albo nie mów! Sam, uhm, zgadnę. — Zaciągnął się dymem. — Zamiana w kamień? Nie? W brąz? Nie? Hm... W lód, a może glinę? Też nie? To w co, w kubek?

— O żadną zamianę nie chodzi — zniecierpliwiała się królewna. — Ścigana jestem i ci, co się mnie trzymają jak opętani zgładzić mnie próbują.

— Uch — skrzywił się Bubal. — To gorzej dla ciebie niż przeklętego. Moje współczucie.

— To straszne — zgodził się Rubin z prawdziwą przykrością.

Skinęła głową w podzięcie.

— Chwila, chwila — wypalił Bubal nagle. — Skoro jest tak, jak rzeczesz, dlaczego ona jest z tobą? Na normalną wygląda. — Palcem wskazał Bezsenną.

— Tam, gdzie mieszkam, uczy się nas obrony przed czarną magią. Każdy zna przynajmniej jedno ochronne zaklęcie wcześniej nawet, niż czytać i pisać. Czasem i tego nie umie, a czary zna.

— Praktyczny ten twój lud — przyznał Rubin z szacunkiem. — My czarować nie potrafimy, ale znamy szamana, który zło od nas odpędzi. Dziwny jest, jak to samotnik, ale dobry w tym, co robi. Nie dajcie się prosić. Jesteśmy tym wszystkim, czego akurat potrzebujecie! Prawdę mówimy o bandytach, szamanie. Zła się nie boimy, a bardzo pieniędzy potrzebujemy. To uczciwa wymiana, nie sądzicie?

Nieufna z natury Bezsenna przeciwna była, lecz dała się namówić strachliwej Słodkiej. Pewna była bowiem, że jeśli Bubal i Rubin niecni się okażą, z pomocą magiczną oraz sztyletu poradzą sobie. Poza tym bandytów bardziej się bała, niżli dwójki nieznajomych. a i towarzystwo, jeśli szczerze, przydałoby się w tej trudnej wyprawie.

Ruszyli, za obsługę najpierw zapłaciwszy. Jakże Bubala oczy zaśniły, gdy Słodka złoty krążek pokazała. Zaznaczył, że chce takich cztery po robocie. Zgodziła się. Czuła, że jest naciągana, lecz królestwo cenniejszym jej było niż złoto. Gotowa przepłacić, jeśli do ruin bez przygód dotrzeć miała.

Poszli więc do szamana, a wszystkiemu przyglądali się Rysa i Srebrny. Ruszyli w ślad za czworgiem kompanów, oszukani przez mroczną siłę. Czarny potwór bowiem nie grał uczciwie i wcale ich nagradzać nie zamierzał. Jenó żądę opryszków podsycił, a oni wierzyli i szli bezwiednie na pewną zgubę.